

4993  
Biblioteka  
UMK  
Toruń

362179

# BEZSENNĄ NOC.



MARK TWAIN.



CHICAGO, ILL.  
DRUKIEM I NAKŁADEM W. DYNIEWICZ PUB. CO.  
1912.



362179

W-2/22/50



## BEZSENNA NOC.

O dziesiątej godzinie położyliśmy się spać, bo z rannym brzaskiem chcieliśmy ruszyć w dalszą drogę do domu. Ja leżałem jeszcze chwilkę bez snu, a Harris wnet zasnął. Nienawidzę takich ludzi, którzy w jednej chwili zasypiają. Jest to coś takiego, czego wprawdzie napaścią jeszcze nie podobna nazwać, ale zawsze jest to bezwstydem nie do wytrzymania. Leżałem dla tego w łóżku rozgniewany tą krzywdą i próbowałem zasnąć.

Lecz im więcej przymuszałem się, tem więcej jeszcze nie chciało mi się spać. Przytem czułem się całkiem samotnym w ciemności, w towarzystwie jedynie niestrawionej kolacyi. Pomału zaczął mój duch wywracać koziółki — zaczął rozbierać początek wszystkich rzeczy, jakie kiedykolwiek wymyślono. Ale poza początek ani rusz dalej. Chwytał się jakiejś rzeczy i zaraz ją porzucał; w pośpiechu wściekłym pędził on od przedmiotu do przedmiotu. Minęła jedna godzina a mnie się zda-

wało, że w mojej głowie obraca się młyńskie koło; byłem zmęczony na śmierć.

Umęczenie było tak wielkie, że w tej chwili przeciwstawiło pewien opór nerwowemu rozdrażnieniu. I kiedy wyobrażałem sobie, że nie śpię, dawno już zasnąłem, ale za nagłym targnięciem, członków ciała, obudziłem się. W pierwszej chwili zdawało mi się, że spada z jakiejś skały. Aż uderzywszy w ten sposób ośm czy dziewięć razy przekonałem się, że jedna połowa mojego mózgu ośm czy dziewięć razy zasnęła i nie obudziła się, a tymczasem silnie czynna druga połowa zazdrościła jej tego; peryodyczna nieświadomość coraz więcej opanowywała mój mózg i w końcu zapadłem w senność, ciągle zwiększającą się. Bez wątpienia! byłbym już popadł w całkowitą, błogosławioną, senną bezwładność, gdy na raz — co to takiego?

Moje osłabione siły duchowe, odżyły w części na nowo i okazały się wrażliwymi. Z dalekiej bezgranicznej przestrzeni zbliżało się coś, stawało coraz silniejszym i wkrótce dało się rozpoznać; jak łoskot, początkowo myślałem, że to złudzenie. Ten łoskot, w początku swoim dalekim na milę, wydawał mi się potem jak grzmoty burzy; ale teraz przybliżył się — ledwie na małą ćwierć godziny. Czy to może był przygłuszony słuch dalekiej maszy-

ny? Oto przysunęło się jeszcze bliżej. Wydawało się, jakby odgłos kroków idącego wojska. Jeszcze bliżej i jeszcze bliżej, w końcu zatrzymało się w izbie. — To mysz gryzła coś drewnianego. I z powodu takiej drobnostki przez cały czas leżałem bez tchu.

Lecz co się stało, to przypało. Teraz chciałem czempredziej zasnąć, aby uzupełnić stratę. Nie chcąc a nawet bez dobrej świadomości, słuchałem uważnie szelestu i wchłaniałem odgłos gryzącej myszy. Ta robota, rzeczywiście, męczyła mnie dosyć, ale byłbym to zniósł bardzo chętnie, gdyby mysz była została przy swoim. Ale gdzież tam! Na chwilkę zrobiła pauzę, a ja, czekając rozpoczęcia jej roboty i nasłuchując, cierpiałem więcej, niż, kiedy gryzła. Początkowo miałem ochotę wyznaczyć na tę mysz premię pięć, sześć, siedm, dziewięć dolarów; wreszcie postawiłem już więcej, niż miałem. Pozatykałem sobie uszy, to znaczy — pozaginałem małżowiny uszne i skręciłem je w sześcioro, poczem wpakowałem do środka, ale to nie pomogło ani odrobinę. Nerwowe rozdrażnienie tak zaostrzyło mi słuch, że stał się mikrofonem i mimo wszelkich moich wysiłków słyszałem wszystko zupełnie wyraźnie.

Moja złość urosła do szału.

Wreszcie uczyniłem to, co mi czynili wszyscy ludzie, począwszy od Adama — po-

stanowiłem rzucić czemś w tamtą stronę. Pochyliwszy się, chwyciłem trzewik i siadłszy w łóżku, słuchałem skąd szelest wychodzi. Ale daremna robota! Tak samo gdybym się starał rozpoznać, gdzie świerszcz świerka. Wydaje się tu, a on ciągle gdzieindziej. Rozgniewany rzuciłem trzewikiem na los szczęścia. Trzewik uderzył w mur nad samą głową Harrisa i spadł na niego.

Jak mogłem tak daleko rzucić trudno mi to pojąć. Harris obudził się, ale nie rozgniewał się. To mnie ucieszyło. Prędko znowu zasnął. Byłem bardzo rad z tego. Ale mysz wnet poczęła na nowo swoje. Mnie znowu opanowała złość.

Nie chciałem budzić Harrisa drugi raz, ale kiedy mysz gryzła i gryzła i końca temu nie było, musiałem rzucić drugi trzewik.

Teraz stłukłem lustro. W izbie były dwa lustra, a ja stłukłem, rozumie się większe. Harris znowu obudził się ale nie uczynił mi wyrzutu. To mnie jeszcze więcej zasmuciło i postanowiłem sobie chętnie przecierpieć niewiedzieć jakie męki, niż obudzić go po raz trzeci.

Mysz wreszcie ustąpiła. Pomału zacząłem drzemać, a tu zaczyna bić zegar. Policzyłem godziny i znowu zadrzemałem. Niestety! zaczyna bić drugi zegar. Pocierpłem znowu. Potem słyszę — dwa wielkie dzwony na ratuszu

wybijają głośno i melodyjnie. Nigdy jeszcze w życiu nie słyszałem takich miłych czarujących tajemniczych dźwięków. Ale kiedy to trwało prawie ćwierć godziny, miałem tego wszystkiego aż zanadto. A nawet i potem ile razy mało co nie zasnąłem, ciągle budził mnie jakiś nowy szelest. A kiedy budziłem się, za każdym razem nie było pierzyny na łóżku. Musiałem schylać się aż do ziemi i ją podnosić.

Wreszcie uleciała wszelka ochota do spania. Przekonałem się, że zupełnie spać mi się nie chce, a przytem mam pragnienie jak w gorączce. Rozważywszy rzecz gruntownie, uznałem za najlepsze ubrać się, wyjść na podwórze, tam, przy studni, umyć się, odświeżyć i zapaliwszy cygaro oraz dawszy myślom wolę zająć się, aż noc minie.

Zdawało mi się, że potrafię ubrać się i przy tej robocie nie obudzę Harrisa. Prawda, trzewiki swoje porzucąłem za myślą, ale letnią nocą taką samą służbę zrobią pantofle. O-tóż wstałem i po mału ubrałem się całkiem — tylko gdzieś zginęła jedna skarpetka. Ile naszukałem się za nią koło łóżka — nie ma! Ale, że bez niej trudno było się obejść, więc dalej. Posuwałem się tedy i schyliłem się na kolana i ręce i z jednym pantoflem na nodze, a z drugim w ręce zacząłem poszukiwać do koła na

podłódze. Daremnie! Zatoczyłem szersze koło i leżałem na czworaku, dalej poszukując. Ile razy ruszę kolanem, podłoga trzeszczy, a niech tylko dotknę się jakiejś rzeczy, poczyną się łaskotać, pewnie trzydzieści pięć albo nawet trzydzieści i sześć razy większe, niż za dnia. W takich chwilach ciągle zatrzymywałem oddech i przestawałem dopóki nie przekonałem się, że Harris nie zbudził się. Potem znowu leżałem na czworakach owędy, ale skarpetki nie mogłem znaleźć. Niestety, wogóle nie mogłem znaleźć nic innego, jak tylko same meble. Mnie się zdawało, że w czasie, kiedy kładłem się spać, nie było w izbie tak wiele mebli, przedewszystkiem zaś krzesel — teraz wszędzie krzesła i krzesła! Czyby za ten czas sprowadziło się tu kilka rodzin? A jeszcze do tego tych krzesel nie widziałem, a tylko czułem je, raz po raz uderzając w nie głową. Opanowywała mnie złość coraz większa i przy dobrem pełzaniu na czworakach wyrwało mi się nie jedno brzydkie słowo.

Wreszcie w przystępie wściekłej złości, machnąłem ręką na skarpetkę, mogę przecież bez niej wyjść. Stałem na nogi i, jak mnie się wydało, ruszyłem ku drzwiom.

Naraz widzę: zatrzymałem się przed niezbitem lustrem. Na chwilę zatrzymało mi oddech — poznałem, że zabląkałem się, i nie mam



pojęcia, gdzie jestem. To strasznie mnie rozgniewało. Gdyby w izbie było tylko jedno lustro, mógłbym jakoś zorientować się; tymczasem były dwa lustra, a to znaczyło tyle, jakby ich było tysiąc; do tego jeszcze wisiały oba na przeciwległych ścianach izby. Prawda, widziałem niewyraźne zarysy okien, ale wśród mojego błąkania nie mogłem dobrze zorientować się w położeniu okien i dla tego one, zamiast pomódz mi, jeszcze więcej mnie bałamucily.

Postąpiłem naprzód — i przewróciłem parasol. Spadając na twarde deski, chodnikiem nie pokryte, narobiłem takiego huk, jakby wystrzelił kto z pistoletu. Zacisnąłem zęby i zatrzymałem oddech — Harris nie ruszył się. Powoli i ostrożnie przystawiłem parasol do muru — ale ledwie odjąłem rękę, on znowu... tarach! Wstrząsnąłem się, chwilkę słuchałem w niemym gniewie — spokój. Podniosłem znowu ten parasol i już z największą starannością i uwagą oparłem go o ścianę — ale gdzie! wypuściłem go tylko z ręki, on runął napowrót.

Ze złości mało się nie pękłem. Gdyby nie to, że w tej wielkiej, głuchej izbie było tak

ciemno i uroczyście, tak głęboko — poważnie, pewnie użyłbym był wyrazów, jakich nie możnaby wydrukować w czytance dla niedzielnej szkoły, bo pytanie, czy kto kupiłby taką książkę.

Gdyby to długie pelzanie nie było już osłabiło sił mego rozumu, to jużci mogłem się wziąć do czego lepszego, jak próbować w noc, wśród ciemności stawić parasol na gładką podłogę; to nawet w jasny dzień udałoby się chyba za piątym razem. No przynajmniej została mi ta jedna pociecha — Harris spał dalej spokojnie, nie ruszał się.

Parasol nawet nie mógł mi posłużyć za drogowskaz; w izbie były aż cztery parasole i to wszystkie jednakowe. Otóż teraz postanowiłem znaleźć drzwi, macając palcami ścianę. Podniosłem się i spróbowałem — lecz w tej chwili straciłem obraz. Był to obraz niewielki, lecz grzmotu narobił takiego, jak gdyby zawałiła się cała panorama. Harris ani piśnął. Jednak już przeczuwałem, że bezwątpienia obudzę go, jeżeli nie zaniecham takich eksperymentów z obrazami. Dam raczej wszystkiemu spokój i zostanę w izbie. Oto wynajdę

jeszcze raz okrążył stół — już kilka razy trafiłem był na niego — i on posłużył mi za punkt wyjścia w podróży do wyszukania mego łóżka. Kiedy znajdę łóżko, znajdę i swój zbanek z wodą — ugaszę palące pragnienie i położę

Z tego powodu zacząłem dalej pełzać; do pełzania nabrałem więcej zaufania, bo przy tem nie przewrócę. Po pewnym czasie natrafiłem na stół oczywiście głową, a potarłszy sobie trochę guz, wstałem na nogi i wyciągnąwszy przed siebie ręce, stąpałem dalej. Namacałem jedno krzesło, potem sofę, następnie górski kij, potem znowu sofę. To całkiem mnie zbiło z tropu, bo byłem tej myśli, że w izbie była tylko jedna sofa. Znalazłem znowu stół, ażeby ponownie wziąć sobie kierunek do łóżka, ale znalazłem tylko kilka krzeseł.

Teraz wpadło mi na myśl, — o czem właściwie już przedtem powinienem był pomyśleć — że stół okrążył i dla tego nie nadaje się na wskazówkę. Otóż zacząłem stąpać już na los szczęścia, przedzierając się pomiędzy krzesłami i sofami zaszedłem w nieznane strony — wywróciłem świecznik, przewróciłem lampę, a

szukając znowu po omacku lampy, wywróciłem dzbanek z wodą, który upadł z grzmotem. Już pomyślałem sobie: “Widzisz, przecież znalazłem ciebie! a mnie zdawało się już, że nie zdybiemy się z sobą!” Naraz Harris jak wrzaśnie:

— Rozbójnicy! złodzieje! — a po chwili hałas Harrisa wywołał rebelię w całym domu. Pan X. nadbiegł w długiej nocnej koszuli, ze świecą w ręce; za nim młody Z. z drugą świecą. Drugimi drzwiami nadbiegła cała procesya ze świecami i latarniami: gospodarz domu, dwaj goście Niemcy w nocnym ubraniu i tak samo jedna dziewczka z kuchni.

Rozglądnałem się dokoła. Byłem koło łóżka Harrisa — od mojego daleko na całą niedzielną wycieczkę. Pod murem stała tylko jedna sofa i jedno tylko było krzesło, o które mogłem się uderzać. Połowę nocy krążyłem dokoła niego jak planeta i uderzałem się o nie jak kometa.

Wyjaśniłem ludziom, co uczyniłem i dla czego. Gospodarz i ludzie odeszli, a my zaczęliśmy przygotowywać śniadanie, bo na dworze

świtało. Ukradkiem popatrzyłem na swój pedometr i przekonałem się, że zrobiłem czterdzieści i siedem mil angielskich. Ale to mnie ani odrobiny nie zasmuciło, bo przecież i tak zamierzałem odbyć podróż pieszo.



69-0567 8

300000783076



Biblioteka Główna UMK